

W puszczy spędzam pół życia



Polujące kobiety to nadal rzadkość w polskim łowiectwie. Dlatego warto poznać historię życia pań, które oddają się myśliwskiej pasji. O tym, że nigdy nie jest za późno na rozpoczęcie przygody z łowiectwem, i o swojej myśliwskiej drodze opowiada Maria Prudin, 77-latką należąca do Koła łowieckiego nr 1 w Piszczu i jednocześnie honorowa członkini Klubu Polskich Dian.

Kiedy zaczęła Pani polować?

Do PZŁ wstąpiłam w 1979 roku; miałam wtedy 49 lat. Tego roku Jan Paweł II przyjechał z pierwszą pielgrzymką do Polski. Akurat musiałam pojechać do Pałacu Mostowskich, gdzie mieściła się komenda wojewódzka milicji, aby odebrać pozwolenie na broń (mieszkałam w Śródmieściu), ale nie mogłam się tam dostać, bo trasę zamknięto z powodu przejazdu papieża. Byłam zrozpaczona, godziny urzędowania mijały, mój mąż żartował ze mnie, że cofną mi pozwolenie na zakup broni, ponieważ lekceważę milicję, a ja wciąż nie mogłam dojechać na komendę.

Egzamin na selekcjonera zdałam w wieku 64 lat... Mój Boże, jak ci młodzi koledzy patrzyli na mnie, zastanawiając się pewnie, co takie stare babsko tu robi. Ale i to przeżyłam. Staszą byłam dwudziestą pierwszą kobietą, która otrzymała uprawnienia selekcjonera zwierzyną płowej.

Kto zaszczepił w Pani pasję łowiecką?

Mój mąż. Pochodził z Wileńszczyzny, gdzie jego rodzina posiadała majątek, między innymi lasy, w których mieli prawo polować. Ja sama pochodzę z Warszawy i tam początkowo mieszkaliśmy. Mąż był fotografikiem. Organizowaliśmy sobie czas tak, że przez parę miesięcy pracowaliśmy razem w Warszawie, a następnie wyjeżdżaliśmy do puszczy, gdzie odpoczywaliśmy i polowaliśmy. Tak właśnie postanowiliśmy żyć i do dnia dzisiejszego niczego nie żałuję.

Czy w swoim dorobku łowieckim ma Pani jakieś szczególne trofea?

Nie mam pięknych, medalowych trofeów. W moim kole swego czasu strzelaliśmy wyłącznie przelatki. Chociaż... to właśnie wtedy upolowałam pierwszą grubszą sztukę. Był to mój pierwszy dzik. Zostałam za niego zawieszona na trzy miesiące.

Siedząc na ambonie, obserwowałam w łanie rzepaku łochę z pięcioma warchlakami. W pewnym momencie przed nimi pojawił się samiec. Wydało mi się, że mam do czynienia z przelatkiem, ale o godzinie 22 określenie wielkości dzika nie jest łatwe. Z sąsiednich ambon całą sytuację obserwowali mój mąż i inni koledzy myśliwi. Jak się później okazało, oni także byli przekonani, że to był przelatek. Postanowiliśmy, że jeśli się zbliży, będzie strzelała. Dzik w końcu podszedł pod moją ambo-

nę, a po strzale – nie zaznaczywszy kuli – uszedł w las. Po chwili pod amboną pojawili się mąż i koledzy. Udał się na zestrzał, tam jednak nie znaleźliśmy ani kropli farby. Wróciliśmy do domu, ale nie mogłam przestać myśleć o tym zdarzeniu. Postanowiliśmy z mężem jeszcze raz sprawdzić miejsce zestrzału i okolice. Towarzyszył nam kolega zapatrzonej w silny reflektor. Weszliśmy w las i już na samym brzegu, na złamanych malinach, odnaleźliśmy jasną farbę. Idziemy dalej, wchodzimy w drogówkę... dzik leży.

Po wypatroszeniu „przelatek” ważył 98 kilo. Mój mąż powiedział: „Słuchaj, wyciąłem wszystko, co się dało, żeby cię uratować, ale i tak na przelatka nie da się go przerobić...”. No i zostałam słusznie zawieszona.

Na jaką zwierzynę woli Pani polować: drobną czy grubą?

Lubię polować na dziki. Chciałabym też częściej wybierać się na jelenie, ale to jest coraz trudniejsze, jako że u nas poluje się głównie z podchodu. Niestety, do tej pory nie strzeliłam byka. Ale mam nadzieję, że puszcza mi odpuści. Mówię „puszcza odpuści”, bo związałam się z nią pewną przysięgą. Znalazłam kiedyś jednocześnie dwa zrzuty byka. Byłam tak przejęta i zachwycona tym pięknym znaleziskiem, że złożyłam przysięgę, iż nigdy nie strzelę do byka. Nie przypuszczałam wówczas, że w przyszłości będę selekcjonerem. Teraz puszcza jakby egzekwowała to przyrzeczenie. Ile razy podchodził byk i rozpoznaję w nim selekcyjnego wiecznego osmaka, tyle razy zwierzę rusza znikąd, jakby batem podcięty. Teraz błagam puszcę, żeby mi pozwoliła jednak strzelić byka...

Na pewno miała Pani wiele myśliwskich przygód. Która z nich zasługuje na szczególną uwagę?

Bardzo chciałam upolować wilka i zasadzałam się na niego wielokrotnie. Pamiętam, jak pewnego razu, 8 marca, siedziałam na ambonie przy nęcisku. Za przynętę służyła kosińska padlina, do której przyszedł dwa jenoty. Strzelałam dwukrotnie do jednego z nich, żeby go położyć; drugi uszedł w krzaki. I tu proszę sobie wyobrazić, że wkrótce po tych strzałach na nęcisko wysunął się wilk. Początkowo byłam przekonana, że mam do czynienia z waleśjakiem się psem, który przyszedł do padliny. Postanowiłam więc przegnać kłusownika. Krzyknęłam. Gdy rzekome psisko uniosło łeb, w świetle księżyca zobaczyłam, że przede mną stoi piękny basior. Wilk odcoszył w krzaki, z których po chwili rozległy się niesamowite wrzaski. To ten drugi, ocalały jenot stał się przypadkową ofiarą wilka. Tymczasem dojechał mąż. Idąc do mnie, słyszał strzały, a potem wrzaski, i zupełnie nie wiedział, jak je zinterpretować. Posłaliśmy czym prędzej, przyswiecając sobie latarką, w miejsce, gdzie rozebrał się jenoci dramat. Na Śniegu znaleźliśmy jedynie klaki.

Wilka, którego wtedy spotkałam, śni mi się po dziś dzień. Polowałam na niego przez kilka lat, a mając go w końcu przed sobą, nie strzeliłam.

Czy ma Pani inne pasje i zainteresowania oprócz łowiectwa?

Interesuje mnie wiele rzeczy. Kiedyś zajmowałam się fotografią. Trochę haftuję, tkam, ale tak naprawdę nie mieszczę się ze wszystkim w czasie. Na razie więc odkładam te zajęcia i obiecuję sobie, że wróć do nich, kiedy nie będę już mogła polować.

Wcześniej rysowałam. Zresztą chciałam studiować na akademii sztuk pięknych, ale moje życie potoczyło się inaczej. Wychowywałam się w Siedlcach, gdzie mój ojciec służył w wojsku. W czwartej klasie gimnazjum, tuż przed małą maturą, wyjechałam ze szkoły za... narysowanie karykatury dyrektora. I to pokierowało moim życiem zupełnie inaczej, niż planowałam. Szkółko skończyłam dopiero w Warszawie. Po małej maturze przerwałam naukę i podjęłam pracę.

Obecnie troszeczkę rzeźbię. Kiedyś podczas pobytu w Tatrach – bardzo lubię te góry – spotkałam pana, który ostrzył dłuta Ksaweremu Dunikowskiemu. I właśnie wtedy zaczęła się moja przygoda z rzeźbiarstwem. Choć nie trwała długo, to do dziś ozdabiam kolegom kolby ich broni. Dzięki temu, że każda ma inny wzór, stają się niepowtarzalne. Mimo że w tych rzeźbach jest trochę naiwności, mają wartość, bo nie są to wzory fabryczne, sztampowe. Pierwszą pracą były ozdoby na mojej własnej dubeltówce, kolejną wykonałam na broni męża. Probuję też rzeźbić w kościach zwierząt, np. zabitych przez wilki lub pochodzących ze skupu. Kość jelenia jest moim zdaniem najlepsza. Kość łosia jest dla mnie trudniejsza w obróbkę, ponieważ nie potrafię jej odłuszczyć. A w ogóle to najlepiej odłuszcza natura. Doskonałe są kości znalezione w puszczy, wysuszone przez słońce, wytrawione przez mróz. Nawet te pęknięte można wykorzystać w świecznikach i lampach.

Ciągłe się ucze; nie chcę powtarzać wzorów. Zazwyczaj moja praca służy znajomym, im bowiem oddaję moje rzeźby.

Jest Pani honorową członkinią Klubu Polskich Dian. Co chciałaby Pani przekazać koleżankom, które polują, i tym, które dopiero się do tego przemyślają?

Nie maciecie, dziewczyny, żadnych kompleksów w stosunku do panów. Najtrudniejsze są pierwsze lata – tak przynajmniej było w moim przypadku. Zresztą po dziś dzień czuję się bardzo osobiście, gdy stoję z bronią na ulicy i czekam na kolegów przed polowaniem. Ludzie patrzą wówczas jakoś dziwnie, ale trzeba być na to odpornym.

Dziękuję za rozmowę. Darz Bór, zwłaszcza upragnionego byka.

Rozmawiał **WOJCIECH MISIUKIEWICZ**



Fot. W. Misiukiewicz

Moja historia łowiecka

Urodziłam się genetycznie skażona myślistwem. Nie z pokolenia na pokolenie, ale tak jak z zielonym groszkiem w prawie łowieckim – gen łowiecki przejął po dziadku.

Mam wrażenie, że poluję od zawsze, tylko trofea są coraz to inne. Najcenniejsze i najokazalsze to mój mąż. Potem poszło jak z płatka. Na moim rozkładzie znajdują się zwierzyna gruba i cienka,

inaczej idzie jeleni, a inaczej dzik. Sarna stapa lekko, za to żubr hałasuje niemilosiernie. No i wszystko ma w nosie. Zdarzyło mi się siedzieć na ambonie i czekać, aż samotny samiec oddali się na tyle, bym mogła bezpiecznie zejść.

Obecnie poluję w Puszczy Piskiej. Tu – ku mojemu zaskoczeniu – zwierzyne przeważnie słychać z daleka, bo w taki rok jak ten wszędzie to woda. A nawiasem mówiąc, Puszcza Piska nie jest tak siedliskowo sucha, jak myślałam.

Na pytanie, z czym kobieta myśliwy ma największy kłopot, zawsze odpowiadam, że wychodząc na polowanie, ciągle nie wiem, za co mam złapać męża. Niektórzy twierdzą, że to nie musi być mąż...

Do moich ulubionych polowań mogę zaliczyć te na rogacze – w wiosennej scenarii, przy śpiewach słowika. Na dziki zaś najbardziej lubię polować latem, na ryzku, przy pełni księżyca. We wrześniu najchętniej wybieram się na byki jelenia, choć trochę mi ich żal, bo w gruncie rzeczy mają ciężkie życie. Lubię też polować na lisy w zimie (w tym roku zaliczyłam dublet z jednego zasiadu) i na kaczki z łódki. No i uwielbiam zbiorówki, a w szczególności ich zakończenia i te pogawędki przy ognisku...

Marzy mi się medalowy byk, a także dzik – szafa. Biorąc pod uwagę, że poluję obecnie w mazurskich lasach, myślę, iż mam szansę zrealizować te marzenia.

MARIA GRZYWIŃSKA,
wiceprezes Klubu Polskich Dian



Fot. M. Grzywińska

Trofea, które pozyskałam w tym roku; ostatnie parostki z prawej zostały wycenione na brązowy medal

rodzaj męski, żeński i nijaki. Tej grubej naliczyłam prawie setkę. Drobnej nie liczę. Może powinnam?

Moją pierwszą łowiecką zdobyczą była koza sarny w lasach nurzeckich w 1988 roku. Pamiętam wszystko dokładnie. Mąż łaskawie użyczył mi broni – sztucera kaliber 7x64. Usiadłam na ambonie na skraju lasu, a gdy wyszła sarna, przymyślałam i... w momencie strzału zamknęłam oczy. Otwieram – koza leży.

Później dość intensywnie polowałam w Puszczy Białowieskiej. Tu nauczyłam się rozróżniać „traski łamanych gałęzi”. Dowiedziałam się, że